

Nowa władza mówi Konopnicką

Rozmawiali Paweł Goźliński i Jarosław Mikołajewski

Trzeba przyjrzeć się uważnie frazesom, kluczowym dla triumfującego dziś języka narodowo-katolickiego i populistycznego, i wziąć się za nie. Porozbrajać te wszystkie "IV Rzeczypospolite", "moralne naprawy państwa", "Polski solidarne". Sięgnąć po język luzu, język obśmiania, bo to on ujawnia groteskowe podłoże wszelkich ideologii - mówi prof. Jerzy Bralczyk, językoznawca, profesor Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej i Uniwersytetu Warszawskiego

Paweł Goźliński i Jarosław Mikołajewski: "Yes, yes, yes".

Jerzy Bralczyk: Nie, nie, nie. Pewnie, że jest to cytat z młodzieżowego języka, pewnie, że premier Marcinkiewicz potrafi w miarę naturalnie gestykulować, ale te wszystkie "wow" i "yes"... Znacznie mniej efektownie jest krzyknąć: "Tak, tak, tak", ale wolałbym, żeby premier po polsku się cieszył i może mniej młodzieżowo.

Tak czy inaczej, dużo w tym nowym rządzie ekspresyjnego ekstrawertyzmu.

To znaczy?

- Pani Teresa Lubińska mówi, że jej marzeniem od wielu lat było zostać ministrem finansów. A ledwo zastępuje ją Zyta Gilowska, już słyszymy, że jej konikiem jest ograniczenie wydatków. A przecież od ministra finansów oczekujemy raczej wyziębienia emocjonalnego i skuteczności niż realizacji własnych koników i marzeń.

W tym samym ekspresyjnym nurcie jest to "yes, yes, yes" premiera. Czy było ono stosowne? Tego nie wiem, ale wiem, że taka wyrazista autoprezentacja, bycie zauważalnym, staje się normą i stylem nowej władzy.

Myśli Pan, że to zamierzone?

- Podejrzewam, że nie od początku. Ale ta charakterystyczność szybko okazała się skuteczna. Premiera rozpoznajemy natychmiast po tej jego poczciwości, czasami niezdarnej spontaniczności. Ta poczciwość u męża stanu może czasami razić, budzić niepokój, ale tutaj była w dobrym momencie użyta. Wystarczy spojrzeć na rosnące notowania premiera - bodaj żaden jego poprzednik tak szybko nie zdobył równie wysokiego miejsca w rankingach popularności i zaufania.

Te wszystkie wyznania, okrzyki w gruncie rzeczy nie są jakoś silnie nacechowane emocjonalnie czy ideologicznie. To raczej jest nieustające ocieplanie własnego wizerunku.

Jeszcze niedawno mówił Pan o premierze: "Ma przerażenie w oczach".

- To były pierwsze moje wrażenia, kiedy jeszcze nie było wiadomo, czy ten rząd w ogóle jest w stanie funkcjonować. Ale premier Marcinkiewicz jakby z dnia na dzień dorastał do swojej funkcji, razem z nami cieszył się z tego dorastania i w gruncie rzeczy okazał się szybko lepszy w graniu swojej roli, niż sobie to wyobrażaliśmy. Nie mogę dać żadnych dowodów, ale może i sam premier jest zaskoczony, że mimo całego politycznego zamieszania jemu stosunkowo gładko, bezproblemowo idzie. I ta jego radość, ten optymizm i poczucie sukcesu - nawet w obliczu niedawnej katastrofy na Śląsku - są jakoś zaraźliwe.

Ludzka twarz IV RP?

- Bardzo ważna, skoro w pierwszej linii mamy też trzech muszkieterów o kamiennych twarzach. Oni nie pozwalają sobie na żarty. Minister Ziobro może się czasem i uśmiechnie, minister Dorn powie wierszyk, ale i wierszyk, i uśmiech będą dosyć ponure. A minister Wassermann to już w ogóle nic ludzkiego z siebie nie wydusi.

Czasami ta ich powaga jest groteskowa, ale i tak patrzemy na nich jako na ludzi w gruncie rzeczy groźnych.

Tak samo jak na braci Kaczyńskich. Szczególnie Jarosława chętnie się w mediach przedstawia

jako demonicznego gracza.

- A pamiętają panowie chomiki, które pojawiły się w telewizyjnym "Polskim zoo" lata temu? Były wesołe i chichoczące, a twarze miały braci Kaczyńskich. Teraz, owszem, rozpoznawani są jako ponuraki, ale to wcale nie jest oczywistość. Ich bliźniaczość sprawiała, że byli często identyfikowani raczej z wesołą stroną polityki.

Jednak przyklejając chichot do twarzy, wcale nie odzieramy ich z pewnej pryncypialności, która budzić może obawy, nawet lęk. Bo w wypadku braci Kaczyńskich ich uśmiech znaczy przede wszystkim: "Nic nie jest tak, jak się państwu zdaje". Ten uśmiech więcej skrywa, niż opowiada.

A ich "żarty"? Na przykład meldunek o wykonaniu zadania złożony Jarosławowi przez Lecha po zwycięstwie w wyborach prezydenckich.

- Taki żart przez celową przesadę miał zlikwidować wrażenie, że między braćmi jest jakaś relacja przełożony - podwładny. Tylko że żart się nie udał - bo jednak był nieestosowny w tym miejscu i czasie - i zamiast rozbroić podejrzenie, jeszcze je wzmocnił...

Ale ani nieudane żarty, ani groźne słowa nie czynią braciom krzywdy. "Spieprzaj dziadu" nie pogrzebało Lecha.

- To jeszcze zależy, kto grzebie.

A nie kogo się grzebie?

- Nie. Gdyby to nie lewica rzuciła się na Kaczyńskiego, no i gdyby poważniej potraktować jego słowa, przyjrzeć się, jaki stosunek do świata się za nimi kryje... Gdyby w odpowiednim czasie zestawić je z wizją "Polski solidarnej", to może by mu i zaszkodziły. A tymczasem został tylko ludzki, w gruncie rzeczy emocjonalny odruch, pokaz ułomnego, ale człowieczeństwa.

Ciekawe człowieczeństwo...

- Jednak wizerunek szeryfa Lecha Kaczyńskiego pozostaje spójny. W czasie kampanii wyborczej był "prawdziwszy" niż Tusk. W zniszczonych butach był człowiekiem, który się trochę zastanawia, który nie powtarza namolnie jednej formuły, nie patrzy tak przenikliwie.

Ale wybitnym retorem to prezydent Kaczyński nie jest.

- Oczywiście, pewna sprawność mówienia jest politykowi przydatna. Ale ona nie musi polegać na płynności ani gładkości. Mogę przecież też mówić bardzo długo, zastanawiając się nad słowami, powtarzając zdania, jakby głośno myśląc. Wtedy nawet niezbyt istotne stwierdzenia mogą być odebrane jako szczególnie głębokie. A do tego taki sposób mówienia daje wrażenie rzetelności, odpowiedzialności za słowo.

Co było takiego niespójnego w wizerunku Tuska?

- Chociażby agresywność, zupełnie dla niego nowa. I stanowczość - przecież tego nie było w nim wcześniej.

Tusk miał jakąś obcość w sobie. To nie chodzi, broń Boże, o dziadka czy obco brzmiące nazwisko, czy jeszcze bardziej imię - choć może i te wszystkie elementy jakąś rolę odegrały w kampanii. Tusk to był człowiek, który przyjechał do nas z wizytą, a nie swojak. Jeśli był swojakiem, to dla Gdańska i Kaszub. A jak ktoś jest ściśle wiązany z jednym środowiskiem, tam w pełni akceptowany, to w innych może być akceptowany mniej.

Do tego to człowiek z nieruchomą twarzą, z przenikliwymi oczami. Nie lubimy tego u Macierewicza, prawda? Dlaczego mielibyśmy polubić u Tuska?

Kiedy czytało się na plakatach: "Prezydent Tusk", to jednak była pewna uzurpacja, facet wybiegał przed szereg. A kiedy się czytało: "Lech Kaczyński, prezydent IV Rzeczypospolitej", to już wiedziałem, że jak będzie IV Rzeczpospolita, to on będzie prezydentem, a jak on będzie prezydentem, to będzie IV Rzeczpospolita - cokolwiek bym myślał o tym hasle.

A jak się Panu podoba "Polska solidarna"?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć, czyj to był pomysł, ale był diabelski. To takie potrójne odejście od socjalizmu - najpierw mamy "socjalistyczny", potem "socjalny", w końcu "solidarny".

Bijemy wszelkie rekordy takich językowych ucieczek. Pamiętają panowie, jak "cywilizowaliśmy" kapitalizm? Mieliśmy gospodarkę rynkową, potem społeczną gospodarkę rynkową, potem społeczną gospodarkę rynkową zgodną z nauką Kościoła. A kto pierwszy użył tego pojęcia w Polsce? Nie uwierzycie: Jacek Kuroń!

Mówi Pan, że "Polska solidarna" oczyszcza socjalizm z socjalizmu?

- W przejściu od Polski socjalistycznej do solidarnej następuje jednocześnie odbieranie wszystkich tych pojęć lewicy, jak i czyszczenie ich z "lewicowości". A jak lewicowe hasła zostają pochłonięte przez prawicę, na scenie polityki pozostają wyłącznie dwie opcje, obie stojące zresztą pod znakiem konserwatyzmu. A sam konserwatyzm staje się czymś niepodważalnym, koniecznym i niepodlegającym dyskusji. Mamy więc konserwatyzm spod znaku "Polski solidarnej", no i wrogą opozycję konserwatywno-liberalną.

Bardzo niewygodny dla Platformy układ.

- Obroną Platformy i Tuska była próba przejścia obcego sobie języka i argumentacji. Jak wy wojujecie antykomunizmem, to my będziemy teraz jeszcze większymi antykomunistami. Jak mówicie o lustracji, to my będziemy mówić o niej więcej i głośniej. Jak PiS jedzie do księdza Rydzyka, my pojedziemy do arcybiskupa Dziwisza. Ale kiedy PiS pokazuje się w Telewizji Trwam - wydaje się to spójne i naturalne. Kiedy Platforma rusza na rekolekcje, to znów jest rodzaj niespójności, i to z wyraźną funkcjonalizacją, podobnie jak w przypadku ślubu kościelnego Tuska.

Więc kiedy wreszcie trzeba było pokazać, że my z PO jednak jesteśmy inni, to pozostawały już tylko argumenty ze sfery ekonomicznej. Ale stawiając na nie, Platforma musiała opowiedzieć się po jednej ze stron wizji narzuconej przez PiS. Bo albo jesteśmy za Polską solidarną, albo liberalną. A ta liberalna to właściwie nie wiadomo, czy jest jeszcze Polską. Tak więc próbując się od czasu do czasu odróżnić, Platforma i Tusk sami się wpychali do pułapki.

A raczej pustoszejącej lodówki.

- Nie mieli pomysłu, jak z niej wyjść albo jak ją ominąć.

To zresztą znamienne, jak przy całej tej teatralizacji życia publicznego niektóre ugrupowania stają się zakładnikami swoich programów. Jest nawet tak, że partia, która rezygnuje mniej ze swojego programu, tożsamości - przegrywa. Dlatego też lepiej jest formułować enigmatyczne slogany niż programy. Zamiast "podatek liniowy" już lepiej mówić "szczęście dla wszystkich" albo "Polska solidarna".

Kto wygrywa tę ideologiczną bitwę o język?

- W tej chwili język konserwatyzmu nacechowany coraz silniej narodowo-katolicką frazeologią jest u nas jedynym żywym językiem ideologii. Nie ma w głównym nurcie życia publicznego języka lewicy, zresztą nic po nim liberałom.

Wszyscy jesteśmy konserwatystami?

- No nie. W moim przekonaniu znaczenie ma pięć języków publicznych, które mają różną klientelę.

Pierwszy to jest właśnie ten ideologiczny język narodowo-katolicki, najpełniej, bez zahamowań wybrzmiewający w Radiu Maryja i Telewizji Trwam.

Drugi to język populizmu, język, który pojawia się nie tylko w ustach Andrzeja Leppera i jego kolegów z Samoobrony. To też język tabloidów, język telewizyjnej sensacji.

Trzeci to będący dziś ewidentnie w defensywie język rozsądku i racjonalności czerpiący z tradycji oświecenia, mało nacechowany emocjami albo raczej nie bardzo sobie z emocjami radzący.

Czwarty to język komercyjnego sukcesu, ten nastawiony na satysfakcję, zwycięstwo, rankingi. Język korporacji, reklamy, kolorowych magazynów.

I ostatni, piąty, to język luzu, prawie zawsze wykpiwający cztery poprzednie. Trochę jest go w internecie,

dużo w hip-hopie, trochę we współczesnej literaturze.

Jak to wygląda na co dzień?

- Proszę wyobrazić sobie młodego człowieka, który przyjeżdża, dajmy na to, z Lublina do Warszawy. To taki trochę Stendhalowski Julian z "Czerwonego i czarnego", który chce się przebić. Na co dzień będzie się posługiwać językiem luzu, to da mu akceptację swojego rówieśniczego środowiska, może nawet zostać hip-hopowcem. Ale kiedy zacznie się uczyć, wpadnie w łapy korporacji, będzie musiał przejąć tę całą frazeologię sukcesu. Tylko w tym języku może przecież zarządzać czymkolwiek, chociażby samym sobą. Tylko w nim może się poczuć profesjonalnym, zmotywowanym uczestnikiem świata ludzi sukcesu.

Ale nasz Julian może też wpaść przypadkiem na zebranie Młodzieży Wszechpolskiej i tam zacznie krzyczeć, że nie będą nam pluć w twarz ani germanić i takie różne rzeczy. A jeżeli to będzie zebranie Samoobrony, stwierdzi, że "oni" nas znowu oszukali. Może się też trochę podkształcić i pójść w polityczną poprawność, co skończy się w okolicach Fundacji Batorego. Więcej możliwości nasz Julian właściwie nie ma.

A antyglobalizm, kontestacja?

- Niestety, to margines.

Czy ta wielość języków to problem?

- Kiedy nasz Julian mówi tylko jednym z tych języków, wszystko jest jakoś przewidywalne, spójne. Gorzej, jeżeli języki zaczynają ze sobą wchodzić w alianse. Obawiam się, że pierwsze dwa - język narodowo-katolicki i populistyczny - coraz bardziej mają się ku sobie. Bo jeśli prosty, populistyczny komunikat, że oto my, szarzy ludzie, jesteśmy okradani przez elitę zostanie wzmocniony przez stwierdzenie, że owa elita jest obca, bo nie mówi "naszym" katolicko-narodowym językiem, bo nie wyznaje "naszych" narodowych wartości, to wtedy zaczynam się bać. Posługiwanie się przez ideologów rządzącej narodowo-konserwatywnej opcji mową populizmu budzi stare, zdawałoby się, że uśpione demony.

Smutne, ale matką chrzestną obydwu tych języków jest przez lata niedoceniana wielka poetka Maria Konopnicka. A przecież wszyscy się uczyliśmy w szkołach, że w piwnicznej izbie Jaś nie doczekał, a z drugiej strony wiedzieliśmy, że "nie będzie Niemiec...". Już u Konopnickiej te dwa języki się zlewały i teraz się znowu zlewają, tworząc alians bogoojczyźniano-populistyczny. I to jest poważne zagrożenie.

Czy ten populistyczno-narodowo-katolicki język nie jest skutecznym sposobem na nawiązanie kontaktu z elektoratem, z którym dotychczasowe ekipy nie bardzo umiały rozmawiać? Że to po prostu ściśle przez polityków kontrolowany język manipulacji, z którym jednak niekoniecznie się utożsamiają?

- Nie, bo nigdy do końca nie panujemy nad językiem. Kiedy jestem zapraszany przez telewizję czy radio, włączam po prostu język charakterystyczny dla danej stacji i po chwili tracę nad nim kontrolę. Bardzo się za to nie lubię, ale tak jest. Osoby publiczne, także politycy, mają ten sam problem - dają się łatwo wciągnąć samym sobie.

Czy to znaczy, że język Radia Maryja zaraża polityków?

- Oczywiście, mimo że sami politycy robią wiele, żeby być odbieranymi jako ci, którzy nie mówią i nie robią wszystkiego z pełnym zaangażowaniem. Usiłują pokazać, że jednak mają dystans wobec własnych słów i deklaracji. My też przecież im nie wierzymy, zakładamy, że pod tymi politycznymi wizjami walki dobra i zła, swoich i obcych, kryje się po prostu walka o władzę. To dlatego wciąż mówimy o politycznym teatrze, grze, scenie, gestach, aktorstwie.

Czasami mam wrażenie, że gdyby zestawili wypowiedzi dwóch premierów, to nie dałoby się powiedzieć, co powiedział który.

Nawet gdyby to byli Miller i Marcinkiewicz?

- Taki codzienny język polityki to właściwie żaden język, ale slang, odwołujący się do najogólniejszych pojęć zbiór słów i frazeologizmów. Ale z całą pewnością nie byłbym na tyle szalony, żeby utrzymywać, że wszyscy politycy przez cały czas posługują się tylko tym językiem. Bo przecież istnieje też poziom ideologiczny.

Czy ten język to wyzwanie dla językoznawcy?

- Raczej nie, on zwykle nie grzeszy bogactwem. Owszem, używa się słów, które są nośnikami wartości, ale służą przede wszystkim rozpoznaniu, kto swój, kto obcy. Tu łatwo byłoby odróżnić Marcinkiewicza od Millera. Chociaż właściwie...

Skąd to zawahanie?

- Akurat ludzie lewicy nie byli szczególnie przywiązani do swoich wartości, tym bardziej że próbowali zamazać swoją tożsamość. Rozpoznanie kogoś jako "autentycznego" SLD-owca było raczej niepożądane. Obecny był też jakiś lęk - całkiem uzasadniony - że łatwo postkomunistycznej lewicy będzie wpaść w pułapkę języka komunistycznej nowomowy. Ale jak zauważył już na początku lat 90. prof. Michał Głowiński, cechy języka Gomułki czy Gierka częściej pojawiały się w języku prawicy niż lewicy.

Niedawno broniła u mnie pracę magisterską studentka zajmująca się językiem "Naszego Dziennika". Tam zupełnie serio, bez ironii pisze się z aprobatą o "przewodniej sile narodu" - oczywiście o tych, których "Nasz Dziennik" akurat uważa za przewodnią siłę narodu.

Skąd ta bliskość komunistycznej nowomowy i prawicowej frazeologii?

- Bierze się przede wszystkim stąd, że nowomowa była językiem odmawiania innym prawa do własnych sądów, prawa do dyskusji. Tylko my możemy artykułować zarówno własne poglądy, jak i sądy naszym sądom przeciwne. Tylko sami ze sobą możemy dyskutować, tylko sami siebie możemy dialektycznie zwalczać. Przynajmniej część prawicowych ugrupowań, które uznały się za depozytariuszy prawdy jedynej, tę cechę szybko przejęła.

Po 1989 r. politycy lewicy - uciekając od języka, którym się posługiwali przez dziesięciolecia - uczyli się raczej języka racjonalizmu i oświecenia. Trudno powiedzieć, na ile tego języka używali z głębokim przekonaniem, na ile był tylko politycznym narzędziem. Tak czy inaczej, u jego źródeł była cała ideologia związana z prawami człowieka, z nieskrępowaną wolnością jednostki. A więc zupełne zaprzeczenie kolektywizmu, który w języku komunistycznej władzy był absolutnym aksjomatem.

Jeśli dzisiaj pojawiają się sensowne czy rokujące na przyszłość próby lewicowego dyskursu, zawsze są związane z czymś, co kiedyś było i dziś coraz częściej jest podważane lub negowane, a więc z wolnością jednostki. Jeżeli lewica ma jakieś szanse, to działając w obronie jednostek czy to odrzuconych, czy to niepełnoprawnych społecznie, czy też wykluczonych.

W języku dzisiejszej władzy też sporo się mówi się wartościach i o potrzebie wspierania jednych kosztem drugich. Na przykład: "Istotne są także inne przedsięwzięcia, które można podzielić na pozytywne i negatywne. Pozytywne będą zmierzały do tego, by instytucje katolickie, także te, które znajdują się poza Kościołem instytucjonalnym, znajdowały wsparcie ze strony państwa, nie były dyskryminowane. Do tej pory bywały bardzo często dyskryminowane". To Jarosław Kaczyński w Telewizji Trwam.

- No właśnie. Mamy świat rozbity na dwoje: dobry - zły, wsparcie - dyskryminacja. Po stronie dyskryminowanej, potrzebującej wsparcia wpisujemy jakieś dobro niezaprzeczalne - na przykład rodzinę. Rodzina potrzebuje wsparcia, to jasne, dajemy więc "becikowe", wydłużamy urlopy macierzyńskie, walczymy o obniżenie cen podręczników. Przekonujemy, że wiemy, jak o to dobro dbać. Tym łatwiej jest w ten model wpisać kolejne pojęcia, bo nie tylko rodzina potrzebuje wsparcia, ale ze względu na dobro rodziny instytucje katolickie, media katolickie potrzebują wsparcia.

"W dzisiejszym świecie, gdy ktoś powie słowo o jakichś ograniczeniach dostępu do przekazów demoralizujących, to zaraz jest krzyk, że jest się zwolennikiem cenzury, jest z ciemnogrodu i jest w ogóle bardzo złym człowiekiem".

- Widzą panowie: cenzura, żeby ochronić rodzinę, również potrzebuje wsparcia.

Układ jest prosty: jest dobro i jest zło. Dobro jest zagrożone, więc potrzebuje wsparcia. Za wszelką cenę, nawet odwrócenia znaczeń. No bo przecież przez całe dziesięciolecia cenzura była narzędziem zamykania nam ust i synonimem zniewolenia, a dziś nie jest już złą, ale staje się czymś dobrym, pożądanym.

Jak wygląda to odwrócenie znaczeń?

- To, co w ustach "obcego" jest przekleństwem, wypowiedziane przez "naszych", których darzymy sympatią, którym ufamy, staje się czymś pozytywnym, wartościowym i ważnym. To było z ciemnogrodem, który był przekleństwem, a za sprawą sprytniej zagrywki Wojciecha Cejrowskiego z jego programem "WC Kwadrans" stał się synonimem swojskości, samoakceptacji, wspólnoty. Teraz, jak widać, to samo próbuje się zrobić z cenzurą, zdjęć z niej odium i pokazać jako narzędzie służące dobru. Tak samo dzieje się z innymi elementami kontroli, opresji.

Pomocny jest tu chwyt retoryczny zwany prolepsis: oto wysuwa się potencjalny zarzut i ustawia w ten sposób, żeby wyprzedzić przeciwnika i natychmiast ten argument zbić. "Mówicie, że jestem złym człowiekiem...". Nikt tak nie powiedział, ale dzięki temu, że sami to powiedzieliśmy i obaliliśmy, nikt już takiego zarzutu nam nie postawi.

A co Pan myśli o haśle 24-godzinnego sądu?

- To umiejętnie skonstruowane pojęcie. Bo sąd 24-godzinny może być zarówno groźbą dla tych, którzy ponoć boją się szybkiej, nieuchronnej kary, jak i obietnicą dla tych, którzy mają poczucie zagrożenia. Sama nazwa ma pozytywne konotacje, no bo nabożeństwo 40-godzinne, sklep 24-godzinny. Więc niekoniecznie każdy pójdzie głębiej, żeby się zastanowić, w jakim stopniu te sądy mogą być pomocne w zapewnianiu nam bezpieczeństwa, a na ile mogą sprzyjać ograniczeniu naszych obywatelskich swobód.

Ostatnio prezydent Kaczyński powiedział, że "w Polsce brak przepisów wynika też ze swoistego pojmowania wolności, moim zdaniem tutaj fałszywego, które by pozwalały w sposób jednoznaczny np. zakazać różnego rodzaju imprez rozrywkowych". Czy Pan rozumie, co prezydent ma przeciw wolności?

- Formalnie - przeciwko, jak wynika z cytatu, "swoistemu pojmowaniu wolności". Ale to znowu wygodna formuła. Każdy przyzna, że "swoiste pojmowanie wolności" może być jej zafałszowaniem, ale jakie jest swoiste i co to znaczy - decyduje ją.

Jak sobie radzić z zideologizowanym językiem?

- Żeby móc teraz znów zacząć swobodnie myśleć, swobodnie rozmawiać, najpierw trzeba by dokonać głębokiej dekonstrukcji większości frazesów, kluczowych dla triumfujących dziś języków narodowo-katolickiego i populistycznego. Porozbrajać te wszystkie "IV Rzeczypospolite", "moralne naprawy państwa", "Polski solidarne".

Nie będzie łatwo. Język komunistyczny był językiem obcym, narzuconym z zewnątrz. Język sukcesu, język komercji też jest z zewnątrz narzucony. Ale język bogoojczyźniany-populistyczny, język Konopnickiej jest nasz, to nasze ciało i krew.

Jak go rozbroić?

- Jedyną nadzieję widzę w tym języku luzu, języku obśmiania ujawniającym groteskowe podłoże wszelkich ideologii.

Gdybym był poetą, tobym dziś próbował pokazać, że wszystkie te obowiązujące publicznie języki są diabła warte. Zwłaszcza kiedy używa się ich jako wytrychu do otwierania rzeczywistości, bo wtedy stają się narzędziem manipulacji w rękach ludzi, którzy chcą nam pokazać swoją wyższość. A w konsekwencji nas niewolić.

Proszę pamiętać, jak wiele dla polszczyzny okresu socjalizmu zrobili niedoceniani dziś Sławomir Mrożek czy Jeremi Przybora. Oni tworzyli alternatywy dla oficjalnej nowomowy. Rozbrajali język propagandy, używając paradoksu i absurdu, pozostając przy tym spójni i eleganccy. To są wzorce, jak sobie z nowo mową radzić, jak inaczej rozmawiać, jak inaczej, swobodnie myśleć.